

Od autora: Lebensborn (niem. Źródło życia) – instytucja niemiecka oficjalnie funkcjonująca jako opiekuńczo-charytatywne stowarzyszenie „Lebensborn e.V.” (niem. Lebensborn eingetragener Verein, pol. stowarzyszenie zarejestrowane „Źródło życia”), która funkcjonowała w strukturach organizacyjnych SS. Została powołana na mocy rozkazu Reichsführera-SS Heinricha Himmlera w 1936 roku

Lebensborn w założeniach miał stworzyć odpowiednie warunki w sieci swoich ośrodków do „odnowienia krwi niemieckiej” i „hodowli nordyckiej rasy nadludzi” poprzez odpowiednią selekcję kobiet i mężczyzn przeznaczonych do rozmnażania w ramach demograficzno-politycznych założeń nazistowskiej polityki rasowej. W praktyce oznaczało to przymuszanie przypadkowo dobranych kobiet i mężczyzn do codziennego odbywania stosunków płciowych.

Urodziłem się w 1944 roku, pewnego dnia latem, w ośrodku *Lebensborn*, w Norwegii.

Nigdy nie miałem snów, czyż to nie dziwne?

Aż kiedyś, niespodziewanie, spłynęły na mnie jak spieniona, wodna kaskada.

I w jej toni miałem pozostać przez wiele smutnych, straconych lat.

W martwych godzinach, których nie było, na próżno szukałem siebie.

Pewnej nocy zobaczyłem wysokiego blondyna, lat około dwudziestu pięciu, o regularnych rysach twarzy i bezczelnym uśmiechu, w którym kryła się bezgraniczna pogarda dla tych, co muszą służyć i kłaniać się *rasie panów*, bo ona wyda ostateczny wyrok i nie będzie od niego odwołania, a nawet gdyby, i tak zakończy się ono w grobie.

Jeśli miałbym określić człowieka, do którego mógłbym poczuć natychmiastową nienawiść, byłby nim bezsprzeczne ów typ, bowiem wiele o tym czytałem, o zachowaniu esesmanów, i wyrobiłem sobie własne zdanie, klarowne i sztywne, i teraz wiedziałem, że nic go nie zmieni, a to, co nadejdzie, jedynie upewni mnie w mniemaniu, że niektórzy nie powinni się nigdy narodzić.

Młody esesman palił niespiesznie papierosa i spokojnie patrzył, jak Ingrid rozbierała się.

Skąd wiedziałem, że ma na imię Ingrid?

Ot, zwykła logika snów – wiedza, która przychodzi z innego wymiaru.

Była typowym przykładem nordyckiej urody i pewnie dlatego porwano ją z ulicy, zimą, kiedy w Oslo, poproszona przez matkę wyszła na zakupy, by nabyć kilo jabłek i świeże śledzie.

Jako Norweżka nie mogła sama zgłosić się do Lebensbornu, robiły to fanatyczne Niemki i kobiety z podbitych narodów, które chciały poczuć w sobie niemiecką spermę i urodzić kolejnego „pana”, co być może kiedyś zawładnie światem i rzuci wszystkich na kolana.

Jej oczy, oczy tej młodej, pięknej małej przypominały oczy zaszczutego zwierzątka: miały się po ścianach, jakby w poszukiwaniu ratunku, który tej nocy niestety nie mógł nadejść.

Gdzieś, gdy spływała samotna łza ujrzałem, że bardzo tego nie chciała.

Logika snów jest taka, że wiemy, że coś jest takie a nie inne, że coś ma własne znaczenie, choć znikąd ta-

kiej wiedzy nie posiadliśmy i nikt nam tego nie powiedział.

Ona umierała ze strachu, drżała i, jeśli istniał wówczas jakiś Bóg, prosiła go o ratunek.

On był zajęty czymś innym, kiedy mężczyzna powoli rozpiął pasek i dopalał papierosa.

- Chodź tu – rozkazał.

Podeszła, zakrywając nagie, drobne piersi.

- Miałaś kiedyś mężczyznę? – spytał.

- Nie. Nigdy.

- Wiesz, po co tu jesteśmy?

- Tak.

- A wiesz, że jutro możesz być z innym?

- Wiem.

- Mnie to wisi.

- Nie jestem tu z własnej woli. Porwano mnie, bo mam wasze cechy.

- Bidula...

- Mam dać dziecko Hitlerowi.

- Dokładnie, mała.

- Może mnie zabijesz?

- Co?

- Zastrzel mnie, bo wolę to, niż los dziwki i matki, która nie ujrzy swego dziecka.

- Podobasz mi się.

- Chcę umrzeć, rozumiesz? Nie będę żyć z takim piętnem.

- Będziesz, i co więcej, masz rodzić niemieckie bękarty. Kiedy urodzisz tego, urodzisz następnego i tak dalej. Już się nam nie wyrwiesz. Będziesz maszyną. Do rodzenia. A my będziemy przychodzili i odchodzili, i dawali ci swoje boskie nasienie. Docień to. Robisz coś dla ludzkości, dla rasy panów. To my zawładniemy ziemią, nie towarzysz Stalin.

A wy, macie dać Rzeszy nowych Niemców, zdrowych i silnych, rozumiesz?

- Zabij mnie – szeptała.

- Zamknij się i kładź się na łóżku – nakazał.

- Nie chcę dożyć jutra – jęknęła.

- Masz dożyć jego narodzin i tyle nie pieprzyć, bo ci przywałę. Nie chcę mieć przez ciebie problemów. Będę z tobą dziś dwa razy. Tak było umówione. A czemu, mało mnie to obchodzi. Za minutę masz być wilgotna, bo jak nie, to się nieźle doigrasz.

Następnej nocy przyśnił mi się młody Anglik, Jack, żołnierz wzięty do niewoli pod Narvikiem, który w przypiływie desperacji przyznał się do korzeni niemieckich.

Nie kłamał, wstydził się, że jego dziadek był policjantem w Bremie i całe życie starał się uruchamiać mechanizm wyparcia, jeśli chodzi o owego niefortunnego przodka.

Wyglądał jak idealny Niemiec i pewnie dlatego darowano mu życie i zmuszono do „pracy” w Lebensborn, bo albo to, albo kulka w łeb, więc nie było z czego wybierać.

Senna wiedza podpowiedziała mi, że miał zaledwie dziewiętnaście lat i nigdy nie był z kobietą, a wszystkim, co o nich wiedział, to że można je pocałować i potrzymać za rękę.

Był dobrym, czystym chłopcem, nie odczuwał potrzeby kontaktów cielesnych, co więcej, zanim poszedł do wojska, interesował się rzeźbieniem w drewnie figur świętych, a co niedziela służył do mszy z własnej, nieprzymuszonej woli, bowiem taką miał potrzebę.

W jakiejś sennej godzinie ujrzałem Ingrid, jak rozbiera się i kładzie ubrania na krzesło stojące przy łóżku,

i siada na nim, wbijając drewniany wzrok w podłogę: cierpi, zna już ten ciężar.

- Wiesz, ja nigdy... - powiedział po angielsku Jack.

Choć go nie rozumiała, domyśliła się w mig, co chciał jej przekazać.

Po policzku spłynęła samotna łza, a zaszklone bólem oczy wyrażały absolutny niebyt.

- Robię to, bo mi kazali. Gdybym odmówiła, trafiłabym do obozu. Do hitlerowskiego Auschwitz. Tam pewna śmierć. Tu umieram każdego dnia z innym. Kiedy zajdę w ciążę, wyślą mnie do Niemiec, gdzie urodzę, a dziecko oddadzą bogatym Szwabom do adopcji, rozumiesz? Tu dostanie numer Lebensborn 2199 albo 1045, jak w hodowli zwierząt. Może pozwolą mi urodzić tu, ale dzieci zawsze zabierają. Co wtedy czuje matka? Kilka dziewczyn się powiesiło. Ja nie mam tyle odwagi, mnie w ogóle nie ma. Chodź, bo za odmowę są bardzo surowe kary – to mówiąc, przyciągnęła go do siebie i po chwili całowała jego usta, nic nie czując, i wiedząc, że i on nic nie czuje.

Potem się obudziłem.

Nadal był 5 marca 1962 roku, a ja byłem w zakładzie opiekuńczym w Niemczech, gdzie jedyną rzeczą, jaką można było się nauczyć od kolegów był samogwałt i palenie papierosów.

Lepki od spermy plakat Marylin walał się w rogu naszego pokoju jak smętny dowód małości.

Przedtem spędziłem kilka lat w rodzinie zastępczej niedaleko Monachium, ale było to prawdziwe piekło, a ja nie chciałem poddać się piekielnym rygorom, dlatego byłem systematycznie bity przez ojczyma, który w ten sposób pragnął wychować mnie na twardego, dobrego Niemca, na takiego, jacy kiedyś ginęli z bronią w rękę na Froncie Wschodnim.

Byłem jeszcze w dwóch takich rodzinach, ale wszyscy odsyłali mnie z powrotem do zakładu.

- Jesteś tak tępy jak but z lewej nogi, nic z ciebie nie będzie, kretyne – mawiał jeden.

- Jesteś tak wredny i złośliwy, że wynocha z naszego domu! – krzyczał inny.

I tak tułałem się po różnych miastach, nie mogąc nigdzie zagrzać dłużej miejsca.

Czułem się śmieciem, nikim, obywatelem państwa, którego nazwą jest *pustka*...

Jakże bardzo czasami chciałem umrzeć, zwłaszcza kiedy dowiedziałem się od ojczyma, że jestem zwykłym bękartem, tyle że „szlachetnej krwi”, a moja matka puszczała się z kim popadło i nigdy nie dowiem się, kim byli moi biologiczni rodzice.

Bo ja chciałem ich poznać, porozmawiać, dotknąć, choć w snach widziałem, że łączyły ich tylko stosunki płciowe, ale ja potrzebowałem kogoś pokochać, jak syn, który pragnie poczuć matczyną dłoń i ujrzeć uśmiech zadowolonego z niego ojca.

Tylko ja sam wiem, ile nocy przeplakałem, marząc o tym, by wydarzył się cud.

On jednak nie nadchodził, a ja w każdej blondynce i w każdym blondynie w wieku średnim widziałem moich nigdy niepoznanych rodziców, i czułem ścisk w gardle, i ból, na który nie było nazwy, co dławił mi pierś i odbierał zdrowe widzenie świata i siebie.

Najbardziej bolesne było to, że nie widziałem żadnych szans na odnalezienie rodziców.

To było niewykonalne i nieprawdopodobne.

Byłem numerem Lebensborn 2677 i nazwano mnie Hans Miller.

Jakże nienawidziłem Hansa Millera, bo mogłem być synem tego młodego Anglika, w którym płynęła niemiecka krew, niekoniecznie ohydny esesmana, choć i to było przecież możliwe, lecz ja wierzyłem pewnego dnia, że nie było we mnie niemieckiej krwi, w tamtej „hodowli nadludzi” dawcami nasienia byli nie tylko Niemcy, ale i mężczyźni o germańskim pochodzeniu.

Nadszedł dzień moich osiemnastych urodzin, które po raz ostatni spędziłem w zakładzie.

Teraz mogłem go opuścić i ruszyć w nieznany mi jeszcze świat pełen nieznanych barw.

Dostałem na drogę niewielką kwotę, więc wsiadłem do pociągu jadącego do Hamburga i tam też się udałem, nie wiedząc kompletnie, czemu wybieram właśnie to rozreklamowane miasto. Dużo o nim słyszałem, że łatwo o pracę, że można zacząć wszystko od nowa. Kiedy tam w końcu dotarłem, była już późna noc, którą spędziłem w parku na ławce. Gdzieś obok mnie zasnął samotny kot, samotny jak ja, jak ja szukający przystani...

Te sny, te koszmary...

One wracały przez te lata jak niespłacony weksel.

Wciąż widziałem Ingrid, moją matkę i zmieniających się mężczyzn.

Jakby zacięła się maszyna od puszczenia filmów i wciąż była ta sama klatka.

Miałem przed oczami sceny, których nie chciałem widzieć, ale to było silniejsze ode mnie, niezależne od mego „chcenia”, a ja jako niemy świadek patrzyłem i czułem znany mi ból.

I znów oglądałem niejako z powietrza ośrodek Lebensbornu, gdzie dano mi życie.

I stygmat na resztę mych dni.

W Hamburgu znalazłem pracę w magazynie opon samochodowych i po przespaniu kilku nocy gdzie popadło, postanowiłem poszukać sobie pokoju.

- Dobry wieczór pani. Chciałbym wynająć pokój na dłużej. Przyjechałem tu do pracy. Jestem spokojnym człowiekiem. Nigdzie mi się dotąd nie udało. Jakiś pech, czy co? Naprawdę nie sprawię pani kłopotu.

- Będzie pokój – rzekła cicho kobieta. – Niech pan wejdzie, bo nawlatuje komarów – mówiąc to uśmiechnęła się obiecująco. Zamknęła drzwi i weszliśmy do kuchni, to tu paliło się światło, a na fajerkach gotowała się smacznie pachnąca zupa. Gospodyni dorzuciła drewna i wtedy dostrzegłem, iż jest w sędziwym wieku, choć na pierwszy rzut oka nie było tego widać.

- Bardzo się cieszę, że się pani zgadza. Już traciłem nadzieję. Spałbym dziś na dworze...

- Czemu mam nie wynająć? Sama mieszkam, odkąd... - tu urwała na krótką chwilę – odkąd mąż zmarł, lepiej to zawsze z kimś, różnie...

- Też tak sędzę.

- W pojedynkę czas się strasznie dłuży.

- Nie ma pani dzieci, wnuków?

- Nie. Już nie... - słowa te wypowiedziała dziwnym głosem z wyraźną nutą smutku, a oczy jej stały się nieobecne i wpatrzone gdzieś w dal. Poczułem, że moje pytanie musiało wydać się przykrym, więc szybko zmieniłem ton.

- Jak będzie trzeba narąbać drewna, czy pomóc przy domu, to ja bez wahania...

- Dobrze... - nie dała mi dokończyć kobieta. – Tam będzie pana pokój – to mówiąc wskazała mi jasne, drewniane drzwi. Powoli zapomniałem o niedawnych obawach i perspektywie spania pod gołym niebem. Pomyślałem sobie, że to był całkiem udany dzień.

- Hans jestem. Niech mi pani mówi po imieniu – poprosiłem.

- Dobrze. On też nazywał się Hans... - szepnęła.

- Kto? – spytałem.

- Mój jedyny, ukochany syn. Zginął w Norwegii, w 1944 roku.

- Przepraszam, że pytałem.

- Nie przepraszaj, nie masz za co.

I wtedy opowiedziałem jej całą prawdę o numerze Lebensborn 2677, i tych wszystkich, zmarnowanych latach i bólu, w którym przyszło mi żyć i zatracać samego siebie.

W atmosferze spokoju płynęły dni, a nocą wciąż dręczyły mnie koszmary.

*Ingrid, niepoznana mam, jakże bardzo mi ciebie brak, jakże wyje moje serce, kiedy widzę pełne, szczęśliwe rodziny, ojców z wózkami, wpatrzone w nich, zakochane żony.
Wiesz, że brzydzę się „tymi sprawami” – nie wyobrażam sobie robić tego z jakąś dziewczyną.
Widziałbym w sobie tych, którzy byli z tobą w moich snach.
I wiem, że nigdy nie przewyżnię tego obrzydzenia.
Zniżyć się do ich poziomu to być jak pies, to sparszywieć do końca.
Nie patrzę na kobiety w ten sposób, ale nie zdobędę się na nic więcej.
Nie zespolę się nigdy z żadną, bo miałbym poczucie winy.
Owszem, podobają mi się, ale nie chcę ich dotykać i z nimi obcować.
To silniejsze ode mnie, to oni, ci mężczyźni z moich koszmarów, zrobili mi to.
I gdy potem, po napisaniu tych słów mijały lata, ja byłem sam, nie szukałem nikogo.
Podobałem się kobietom, ale na słownym flircie się kończyło.
Miałem pewność, że wybiorę życie w pojedynkę.*

Pewnego popołudnia, po powrocie z pracy, zastałem panią Klarę śpiącą, jak wówczas myślałem, po smacznym obiedzie, którego część znalazłem dla siebie na kuchni. Jednak coś mnie zdziwiło. Nie obudziło jej ani moje głośnie *dzień dobry*, ani wejście do domu i głośnie zamknięcie drzwi.

I to mnie zaintrygowało.

Wiedziony trafnym przeczuciem, dziwnie zaniepokojony, postanowiłem sprawdzić, co było przyczyną tak twardego snu. Coś tu wyraźnie niepokoiło, coś nakazywało zdwojoną czujność.

Dotknąłem śpiącej, lecz nie spowodowało to przebudzenia, spróbowałem raz jeszcze mocniej, lecz i to nie poskutkowało. Ogarnął mnie złowieszczy lęk, jakieś bezkształtne podejrzenie, że nie jest to zwykła, poobiednia drzemka, że coś złego dzieje się na moich oczach.

Do dziś nie wiem, czemu zrozumiałem wtenczas, że mam jak najszybciej otworzyć wszystkie okna, by wpuścić niezwłocznie do domu jak najwięcej świeżego powietrza. Tak też uczyniłem. Działąłem szybko, odruchowo, instynktownie, nie marnując czasu na myślenie.

Bezskutecznie próbowałem ocucić nieprzytomną kobietę, potrząsając jej bezwładnym ciałem mocno i stanowczo, lecz moje rozpaczliwe próby spełzyły na niczym – nie dałem rady.

Na moment uległem jakiejś przedziwnej dysocjacji, jakbym rozpuszczał się w czasie...

W akcie desperacji, nie myśląc już wcale, wyniosłem ją przed dom i położyłem na trawie. Potem natychmiast wezwałem lekarza – wiedziałem, że liczą się chwile.

Los najwyraźniej sprzyjał...

I kiedy po jakimś czasie poznałem prawdę, coś ścisnęło mnie mocno za gardło silnym wzruszeniem – dziś już wiem, że tylko dzięki tak szybkiej pomocy uratowałem ją od *zaczadzenia*...

- Synku, dzięki tobie żyję. Jak mam ci dziękować? – powiedziała pani Klara łamiącym się głosem, kiedy siedzieliśmy na ganku już spokojni, już wolni od złego, pijąc herbatę.

- Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo – odpowiedziałem szczerze.

- Jesteś bardzo skromny, Hans, za skromny. Jesteś prawdziwym mężczyzną. Inny mógłby mnie okraść i nie udzielić pomocy. Wiesz, jacy są dziś młodzi. Ty masz to coś.

- Jestem tylko bękartem, który pracuje w magazynie opon samochodowych.

- A jak te twoje sny? Miewasz je nadal?

- Stała się dziwna rzecz: odkąd panią uratowałem, już trzeci tydzień śni mi się co innego.

- Może tak musiało się stać, byś się od nich uwolnił?

- Może musiałem tu przyjechać, by śmierć nie zabrała pani życia. Nie wiem. Ale mam wrażenie, jakbym rodził się na nowo. Czy pani wie, co to sny, które ma się przez całe życie, a w nich matka i współżyjący z nią „dawcy”?

- Wiem, przez co przeszedłeś.
- Od jakiegoś czasu śni mi się most i ludzie skaczący z niego do głębokiej rzeki.
- No i?
- Mają bardzo smutne twarze.
- Wypływają?
- Tego nie wiem, bo sen urywa się w momencie skoku.
- Powiedz coś więcej.
- Oni boją się tego mostu.
- To czemu skaczą?
- Coś im każe – wiem to, coś mi szepcze, że tak właśnie jest.
- Pomimo to, robią to.
- To coś w rodzaju przeznaczenia.
- Jak to mam rozumieć?
- Oni mieli się tam znaleźć i skoczyć.
- To dziwne, by nie rzec, straszne.
- I coś jeszcze wyczuwam: *oni już nie wypływają...*

Tu urwała się nasza rozmowa – ani ja nie chciałem jej kontynuować, ani pani Klara pytać.

I znienacka pewnej nocy, gdy zawzięcie broniłem się przed zaśnięciem, jak złodziej, podstępnie i skrycie przyszedł sen. Zmorzył mnie tak niespodziewanie i nagle, że okazałem się wobec niego absolutnie bezbronny, i nie wiadomo, kiedy porwał mnie znużonego wielką, szeroką falą. Z chaosu sennego niebytu znów wyłonił się tak dobrze znany mi *most...*

Wokół nikogo – godzina już wieczorna, późna i nastrajająca do spoczynku, i tylko sine światło księżyca oświetlało jego zarys, ledwie już widoczny w narastającym, gęstniejącym mroku.

Nagle ujrzałem go jaśniej, jakby wyraźniej i tę małą alejkę nań prowadzącą.

Ciszę gwałtownie rozpruł nowy dźwięk – ktoś zbliżał się jakby obawiając zauważenia i powoli wszedł na most, stając na jego środku i rozglądając się badawczo na wszystkie strony.

Potem podszedł do barierki i spoglądał w dół na rzeczny nurt.

To spojrzenie trwało wieki.

Był odwrócony do mnie tyłem, więc nie miałem okazji poznać wyrazu jego twarzy.

Księżyc blado oświetlił mężczyznę, który niespodziewanie gwałtownym ruchem odwrócił się i dostrzegłem w nim... siebie samego!

Wtedy ktoś do mnie podszedł i podał mi rękę.

Był to wysoki brunet o niebieskich oczach i pięknych rysach twarzy.

- Co ja tu robię? – zawołałem, spoglądając w wygwieżdzone niebo.

Lecz gdy mój wzrok wrócił na ziemię, dziwnego nieznajomego już przy mnie nie było.

Obudziłem się złany zimnym potem, przerażony i bezbronny wobec osobliwej tajemnicy.

Coś szepnęło mi, by tego dnia nie iść do pracy – czemu – nie sposób powiedzieć.

To był nakaz, któremu musiałem się podporządkować, jak szept pełen prawdy.

Powiedziałem pani Klarze, że się źle czuję i zostanę tego dnia w domu.

Cały czas miałem przed oczyma mój sen i fatalny most, bo że takim był, nie wątpiłem.

Lecz co oznaczał, co oznaczały owe skoki do wody?

Intuicja, ten dobry druh, podpowiadała mi, że nic dobrego, że to bardzo zły omen.

Wyniosłem do ogródka leżak i usiadłem, próbując osiągnąć namiastki spokoju.

Zapaliłem papierosa, zaciągnąłem się, i wtedy przypomniał mi się ów nieznajomy ze snu.

Jego twarz kogoś mi przypominała, kogoś mi dobrze znanego, lecz kogo?
Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, bo podobieństwo rysów niepokoiło.
Te same usta, ten sam nos, to samo łagodne spojrzenie, dobroć, która od niego emanowała.
Bez dwóch zdań był wierną kopią kogoś mi znanego.

Wtedy pani Klara wbiegła do ogródka i krzyknęła, a w jej głosie wyczułem niepokój:

- Chodź do telefonu. Ktoś do ciebie!

I wtedy TO usłyszałem, boleśnie poczułem jak uderzenie młotem w skroń.

- Hans, był ogromny pożar w magazynie. Awaria elektryczna. Wszystko spłonęło. Zawalił się strop, nikt nie przeżył. Zginęło prawie dwadzieścia osób. Spalili się żywcem. Tylko my dwaj przeżyliśmy. Dziś moja Ellen rodziła, więc wziąłem wolne. A ty, jak to się stało, że nie było cię w robocie?

- Źle się czułem od rana. Nikt nie przeżył, nikt, mówisz...

- Tam jest już tylko gruzowisko.

- A więc jednak...

- Co?

- A nic. Trzymaj się, stary.

- Co teraz zrobisz?

- Jeszcze nie wiem. Nie wszystko zależy od nas.

Padłem ciężko jak kłoda na leżak i przez chwilę nie wiedziałem, jak się nazywam.

Jeśli piorun potrafi uderzyć człowieka i nie zabić, to wówczas rąbnął z całą siłą.

Czułem, że drżą mi ręce, że głos, niezdolny do niczego, zapadł się gdzieś w gardle.

Gdy pani Klara podeszła do mnie, opowiedziałem jej, co się wydarzyło.

Z wrażenia usiadła na trawie i zapłakała jak małe dziecko, które ktoś niesprawiedliwie skarcił.

Wtedy coś mnie tknęło, po raz pierwszy, ale bardzo wyraźnie, jakby poraził mnie prąd.

I poczęło świdrować mózg jak myśl nieznośna, co musi znaleźć ujście w świecie realnym.

Patrzyłem na jej łzy, na nią, jak targana spazmem płaczu siedzi obok mnie jak mała dziewczynka, którą ktoś porzucił w środku lasu i odszedł w siną dal.

- Pani Klaro, w tym niezwykłym śnie był jeszcze ktoś. *Młody, wysoki brunet*, o bardzo ładnej twarzy, w której wyczytałem dobro. Coś, co lśniło jak czyste piękno. Podał mi rękę i *nie skoczyłem z tego pieprzonego mostu*. Nadal czuję ciepło jego dłoni. Czyż to nie dziwne?

Wtedy ona wstała i bez słowa poszła do domu, jak w transie hipnotycznym.

Po chwili wróciła z pudełkiem po czekoladkach i wyjęła z niego duże zdjęcie.

Gdy na nie spojrzałem, zrobiło mi się zimno i lodowaty dreszcz przeleciał po grzbiecie.

Wnet poznałem mego nieznajomego ze snu – patrzył na mnie radosnym spojrzeniem.

- Czy to on podał ci wtedy rękę? – spytała bardzo spokojnie, jakby znając z góry odpowiedź.

- Tak. To na pewno był on. Wciąż go widzę, wciąż pamiętam. To spojrzenie...

- *To Hans, mój syn.*

- Jak to?

- *Oni czasami wracają.* I chcą za coś podziękować. Lub o coś poprosić.

- *A więc oni istnieją?*

- Tak, mój kochany, i mój syn chciał przekazać coś jeszcze, co tylko matka może wiedzieć.

- Co?

- Zostań ze mną. Nie jestem już młoda. *Już nigdy nie będziesz Lebensborn 2677*. Będziesz miał swoje miejsce na ziemi. Swój kąt. A tobie kiedyś oddam ten dom. Nie mam syna, może ty mi go zastąpisz? Nie mogę być sama. Już nie po tym, co miało miejsce. Coś się na zawsze zmieniło. Choć wcale nie musiało, a jednak...

Nie powiedziałem nic, lecz moje spojrzenie i uśmiech wyraziły wszystko.
Potem podszedłem do niej i pocałowałem w czoło, jakby była moją matką.

- Czy mogę już nie być dla ciebie panią Klarą? – spytała szeptem, a w jej głosie wyczułem całą skromność i delikatność, i coś bardzo dojmującego, na co próżno szukać nazwy.

- *Tak, mamó* – odparłem pewnie i z radością.

9 stycznia 2017

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 25.01.2017 19:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.